L. CHEŁMICKI.

WSPOMNIEŃ GARŚĆ

WARSZAWA
Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka
Krakowskie-Przedmieście № 9.

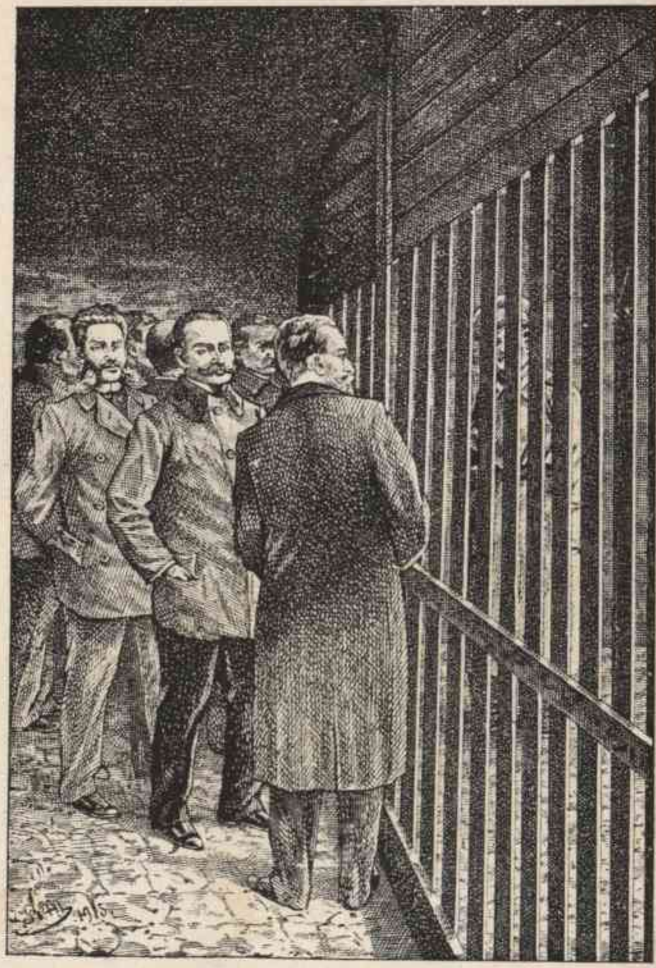
10917 p141.

L. CHEŁMICKI.

Wspomnień garść.

Bolesław [illegible]

A-11663
1000174387
Biblioteka
U.M.C.S
w Lublinie
Hest. 10a
K.239/56/449



Konał 1905 rok!

Stuletnie zachwaszczone polskie ugory nagle przeorał pług życia! I nie zdążyło wielu zebrać marnego plonu, gdy rola, co rodziła dotąd chwasty razem z nędznym zbożem, poszła powalona na spód, a wierzchem ukazała się chociaż jałowa, ale oddawna pragnąca i powietrza i słońca pra-ziemia! Grom bił po gromie... w świetle błyskawic ukazywała się cała nędza naszych łachmanów, padały stuletnie dęby i łamały się młode gaje, drżała ziemia i rozbiegły się wody rzek! A zimne i mocne skały, co w kolumnowych rzędach strzegły chat naszych i pól, złamały swój zwarty szyk!

I jak przy zmartwychwstaniu Chrystusa padli na twarz żołnierze, co strzegli grobu Boga-Człowieka, tak samo pierzchli ci, co strzegli naszych dusz... I ucichł na chwilę łoskot gromu, światło błyskawic zgasło w pół drogi... od wschodu do zachodu na całem niebie jedno paliło się słowo, jeden drżał dźwięk... Polska idzie... Polska!

I wszyscy co byli małych dusz padli w proch, by nikt nie dostrzegł, że są... że pragną! A wielu wołało: „Nie przychodź do mnie, nie znam Cię... dobrze mi tak jako jest“!

Pamiętny roku!

Zabrałeś nam wiele, a dałeś wszystko! Bo kto spojrzał w głąb twoją ujrzał jako od podstaw do wierzchołku pękła moc granitowa skał! Bo w tobie roku pamiętny poruszył się głaz, co grobu naszego strzegł a przez szczelinę wpadł pierwszy promień... nadziei!... bądź błogosławiony... dałeś nam wiarę w moc ducha a... nicość pęt!

W dniu ośmnastym grudnia 1905 roku, wszyscy sędziowie z ziemi Płockiej, a także kilku ławników, zebrali się w majątku Sniechy, gdzie po długich naradach zapadła uchwała:

„Od dziś sądzić będziemy po polsku“. Dwudziestego grudnia ogłoszono stan wojenny, zaś w nocy z pierwszego święta na drugie Bożego Narodzenia zostaliśmy wszyscy uczestnicy uchwały aresztowani.

Gdy odstawiono nas pod silną eskortą do więzienia w Płocku, odrazu znaleźliśmy się w warunkach tak odmiennych od zwykłych, że na razie nie zdawaliśmy sobie sprawy z szybkich zmian, jakim podlegamy tak raptownie. I rzeczywiście. Wczoraj jeszcze każdy z nas spędzał w gronie rodzinnym pierwsze uroczyste święto, gdy niespełna w dwadzieścia cztery godziny cały prawie nasz komplet sędziowski wyczekiwał w kancelarji więzienia kolei, kiedy każdy zostanie opisany i zrewidowany. Ten i ów z nas bagatelizował jak na sędziów, niezwykłą sytuację.

— Panowie!—zawołał ktoś z kolegów,—ponieważ „Sprawiedliwość“ zamknięto w ciupie... ergo—złodzieje powinni zostać wypuszczeni wszyscy na wolność...

Wszelkie objawy humoru, chociażby sztucznego, przyjmowaliśmy z zadowoleniem, mniej odpornych ratowało to być może od depresji moralnej I teraz mieliśmy już wybuchnąć śmiechem, gdy nagle głos jednego z dygnitarzy więziennych przypomniał nam gdzie jesteśmy. „Proszu tam zamołczat'“!

Niebawem przystąpiono do załatwienia formalności, praktykowanych przy przyjmowaniu aresztantów.

Więc najpierw kazano nam się rozebrać do bielizny z butami włącznie, następnie przetrząśnięto starannie ubranie, nie pomijając czapek i obuwia. Na stole, po za którym siedział sam pan naczelnik, rosła szybko góra portmonetek, zegarków, notesów i innych, w pojęciu przepisów więziennych, niebezpiecznych narzędzi. Wreszcie pozwolono nam się ubrać, i wtedy ten i ów wyciągnął rękę, już to po zegarek, portmonetkę, lub inny własny przedmiot, lecz tu spotkał nas przykry zawód. „Aresztantom po za ubraniem nie wolno nic mieć przy sobie“. Kolega Imieniński próbował zaprotestować.

— Panie naczelniku, przecież portmonetką ani zegarkiem życia sobie nie odbiorę, sypiam zwykle z zegarkiem pod poduszką i bez „tiku“ trudno mi będzie zasnąć.

— Mogę pana sędziego uspokoić, — odparł naczelnik z ironją — pański zegarek i tak nie mógł by leżeć pod poduszką, choćby dla tego, że my tu więźniom poduszek wogóle nie dajemy.

Kolega Imieniński spoważniał, co mu się rzadko zdarzało, lecz nie tracąc widocznie jeszcze nadziei — zapytał.

— Panie naczelniku, jeżeli już poduszek nie dostaniemy, to sądzę, że przynajmniej siennik i kołdrę... niedawno miałem influenzę?

— Ani poduszek, ani kołder, jedno mogę obiecać: jutro cele zostaną ogrzane, bo dziś, nic nie wiedząc o tak licznym przybyciu panów, cel nie kazałem ogrzać... trudno, musimy pierwszą noc spędzić w takich, jakie zastaliśmy...

Spojrzeliśmy wszyscy po sobie. Naczelnik, chcąc widocznie przerwać wszelką na ten temat dyskusję — zawołał:

— *Ej Szczurkow, razwiedi aresztantow* po kameram!

Nie wszyscy pewno znają typ tak zwanego „kaptenarmusa”? Jest to zwykle spasiony, tęgi podoficer z mosiężnym kolczykiem w uchu; zajęcie jego podczas służby wojskowej polega na prowadzeniu gospodarstwa w rocie, a szczególniej na dostarczaniu surowych produktów. Nie znałem przeszłości Szczurkowa, byłem jednak prawie pewny, że to jest właśnie taki eks-kaptenarmus, to jest osobnik, z którym o ile nie uda się „porozumieć“, gotów jest dać uczuć swoją względnie potężną władzę, o czem niestety przekonaliśmy się dość prędko. Obecnie przez niego został względem nas zastosowany znany a wypróbowany system: najpierw zdeptać, zmaltretować, nie zadając mąk wielkich, wyrywać włos po włosku, by przez to zmusić do... porozumienia.

— „*Nu poszli za mnoj!*” zwrócił się ostro Szczurkow do nas. Naczelnik i jego pomocnik udali, że nie słyszą aroganckiego tonu Szczurkowa. Nasz zdziwiony i pytający wzrok zwrócony mimowoli do władzy więziennej spotkał tylko obojętne miny.

Więc jeżeli tu wobec swej zwierzchności, taki gbur jak Szczurkow nie robi sobie z nami żadnej ceremonji, to cóż dopiero będzie później, gdy pozostaniemy z nim „sam na sam“?.

Na pierwszą noc umieszczono nas w celach pojedyńczych, przeznaczonych dla zbrodniarzy skazanych sądownie. Prócz czterech ścian i ramy żelaznej, naciągniętej płótnem, a mającej wyobrażać i służyć za łóżko, nic więcej nie było. Prawda, znajdowało się tu jeszcze małe zakratowane okno na wysokości jakich pięciu łokci i w rogu cuchnący... kubeł.

Temperatura wahała się około sześciu stopni R. Zrozumiałem teraz dopiero, co to jest celkowe więzienie. Że zamknięci tutaj tracą zdrowie i rozum — nic dziwnego!

Samotność przymusowa i w takich warunkach musi być nieznośną męką wogóle, lecz stokroć gorszą dla tych, których sumienia nie obciąża nietylko żadna zbrodnia, ale bodaj i wina. Myśl, że w takiej klatce trzeba będzie spędzić tygodnie a może i miesiące — przytłacza jak kamień. Niechby było i brudno, chłodno nawet, ciemno—byle nie samemu!

Narody, oddzielni ludzie, wreszcie instytucje miewają w życiu swym lata chude i tłuste. Takie „tłuste“ lato przyszło i dla więzień. Rok 1905 okazał się nadzwyczaj „urodzajnym“ na przestępców przeróżnych kategorji i odcieni. Gościnne ściany więzienia rozszerzały się jak mogły, w końcu jednak i tam miejsca zabrakło. Zbrodniarze kryminalni, zwykli przestępcy przybywali jak zwykle swoim trybem; sędziowie, ławnicy, wójci, pisarze gminni, wreszcie obywatele ziemscy—swoim. Ta smutna skądinąd okoliczność stała się przyczyną polepszenia naszego losu.

Ponieważ „kryminalnych“ nie można było łączyć w większe partje, czego zresztą i regulamin więzienny nie zaleca, połączono ostatecznie nas, uważanych za „politycznych“, chociaż także a może i bardziej niebezpiecznych.

Szczurkow, mówiąc o nas wyrażał się· „Bolszije prestupniki, oni że wnutrennije wragi gosudarstwa“.

Zaczęło się dla nas nowe życie; radość, że jesteśmy wszyscy razem, nie miała prawie granic.

Przepadły różnice charakterów i usposobień, poświęcono nawyknienia, nie obrażano się o żarty czasem kolące. Wspólny smutny los zespolił nas w jedną jakby rodzinę, ławnicy nawet z początku mocno zwroszeni i podejrzliwi zbliżyli się do nas, głośno wypowiadając swoje proste ale nieraz dziwnie trafne poglądy.

Pozwolono nam także mieć swoją własną pościel, herbatę i tytoń! Jedno tylko dokuczało nieznośnie: drzwi naszej wspólnej celi zostawały stale zamknięte na klucz, chociaż „kryminalni", wprawdzie kolejno, mogli sobie, ile chcieli, spacerować po korytarzu.

Szczurkow specjalnie dbał o nasze drzwi; parę razy zburczał surowo młodszego dozorcę za to, że na parę minut wypuścił nas po dwuch na korytarz. Nieraz musieliśmy pukać i wołać po kwandransie, żeby sprowadzić dozorcę z kluczem, by wbrew prawom i zwyczajom więziennym zadość uczynić zachciankom niezależnym od woli naszej.

A tryb życia, gdy w dusznej izbie siedziało nas szesnastu i jedzenie początkowo dostawaliśmy z kotła, nie mógł sprzyjać zdrowiu. Byle jednak Szczurkowa o nic nie prosić, godziliśmy się z losem, chociaż ten i ów przebąkiwał, że lepiej z nim „pogadać", niż zdrowie tracić.

Po tygodniu pozwolono obiady sprowadzać z miasta. Gdy raz z apetytem spożywaliśmy swoje porcje, wpadł raptem Szczurkow, zły widocznie, że bez jego protekcji, a wprost od naczelnika więzienia, otrzymaliśmy ten przywilej, i bez ceremonji konfiskuje nam noże i widelce.

— Ależ sam pan naczelnik nam pozwolił—protestujemy!

— Obiedy można tolko z łożkami, nożej i wiłok nielzia, zakon strogo wospreszczajet!

Kolega Imieński skorzystał z tego zdarzenia, by sobie pożartować:

— Wiecie panowie,, na złość przepisom, wyostrzę łyżkę i gardło sobie nią poderznę... niech wiedzą, że jak aresztant zechce, to zawsze znajdzie sposób, by się w aniołka zamienić! Ale nam wtedy nie było do żartów! Z zakasanymi rękawami, przy pomocy łyżek, maszynek do papierosów, wreszcie palców, dzieliliśmy nawpół pokrajaną dopiero pieczeń. Rzecz na pozór tak bagatelna, jak pozbawienie nas noży i widelców, stała się powodem wielkiej przykrości. Niektórzy z nas woleli nie jeść mięsa, niż rwać je palcami.

Tu dopiero załamał się hart naszej woli, wystawianej ciągle na pokuszenie. Postanowiono wejść ze Szczurkowem w pertraktacje. Wybór w celu spełnienia tej dyplomatycznej misii padł na mnie. Gdy dnia następnego wracałem z poddasza, gdzie chodziłem ze Szczurkowem po bieliznę, znajdującą się tam w naszych walizkach, doznawałem takiego uczucia, jak gdybym zawarł przymierze z wrogiem ościennym. Wprawdzie traktat powyższy nie został ratyfikowany przez najwyższą władzę więzienną, ale dla nas miał znaczenie olbrzymie. Przekonaliśmy się, że ponad martwą literą prawa, ponad wszelkiemi przeszkodami, góruje gorąca sympatja stron kontraktujących. I oddtąd śmiercionośne narzędzia z firmą „Hotel Warszawski" głośno i otwarcie szczękały o talerze, budząc podziw i zazdrość w kryminalistach, którzy z pewnością „takie dźwięki" pierwszy raz w murach więziennych słyszeli.

Stale prawie wesoły nastrój, jaki panował, ustąpił miejsca przygnębieniu i rozdrażnieniu. Często też bez widocznych powodów wynikały między nami spory a nawet mniej lub więcej głośne sprzeczki. Czasami znów głębokie milczenie zalegało naszą stancję. Koledzy. Witowski i Imieniński wyczerpali już cały zapas anegdot i dowcipów. Jeden tylko kolega Ignacy Grabowski, który stale obiecywał nam niespodziane, a brzemienne w skutkach przewroty polityczne, nie tracił jeszcze jakoś werwy i dobrego humoru.

— Panowie — wołał — słuchajcie, dobra nowina, przeczytam wam ostatnie depesze: (Kurjerek był z przed tygodnia) — Rewolucja w Moskwie prawie stłumiona, wraca ruch uliczny, otwierają sklepy, miasto przybiera zwykły wygląd.

Jeden z nas głośno zaprotestował, — Jakto, kolega nazywa to dobrą nowiną? a przecież parę dni temu upewniałeś, że rewolucja weźmie górę... że wszystko wkrótce się zmieni... że Witte pragnie gruntownych zmian... że wreszcie i nas wypuszczą!

Zaatakowany nagle kolega Grabowski, uśmiechając się ironicznie, bo jednym kątem ust, z przymkniętemi na wpół oczyma, z rękoma w kieszeniach śmiało podsunął się bokiem do oponenta, idąc jakby do ataku.

— E mój panie—mówił jakby improwizując—wy objawy życia bierzecie wprost...

— No tak, wprost, — znów przerwał uparty niedowiarek,—jak deszcz pada, to my zwykli śmiertelnicy, my laicy mówimy, że mokro na świecie, a kolega możebyś dowiódł, że to właśnie wtedy wysycha..?

Kolega Gr. zły już widocznie spuścił powieki zapatrzony w siebie rzekł:

— Tego nie, ale dowodziłbym, że napewno przestanie padać, i że czym dłużej będzie padać, tym dłużej... później będzie pogoda... Czego panowie się śmiejecie? Tu zwykłe rozumowanie nie wystarcza... takie zjawiska społeczne jak obecne, można wytłomaczyć tylko za pomocą metody indukcyjnej.. z wielu zaobserwowanych faktów wnioskować o ogólnych prawach, z przeszłości o teraźniejszości, tak!... o przyszłości panowie!...

Ktoś śmielszy a niecierpliwy przerwał znów i zawołał z ciemnego kąta.

— A może na zasadzie tej metody, jak ją tam.. indukcyjnej, kolega powie nam coś o naszej przyszłości naprz. kiedy nas też wypuszczą?—Ogólny głośny śmiech zawtórował zapytaniu dowcipnisia.

Kolega Gr. wpadł w poważny nastrój; obrzuciwszy wszystkich wzrokiem, wyrzekł wolno i dobitnie.

— Panie dowcipny, pana specjalnie „stąd“ wypuszczą niedługo... tylko zdaje mi się „zamkną znów gdzieindziej“... nie spiesz się pan tak bardzo!..

Cios był celnie zadany, a godził równie dobrze i w tych, co przed chwilą głośnym wybuchnęli śmiechem, to też wielu z nas przybrało minę serjo, chcąc jakby przez to zadokumentować, że nie brali udziału w ogólnej wesołości. Zapanowała głęboka cisza jakby przed burzą! Wszystkim nam chodziło bardzo o dobry wzajemny stosunek; ktoś więc ze starszych kolegów sprobował odprężyć sytuację i zagadnął zwróconego do wszystkich tyłem kolegę Grabowskiego.

— Kolega studjowałeś socjologję, ekonomję, filozofję, boć przetłomaczyłeś jednego z trudniejszych filozofów Szopenhauera, może więc i nam byś objaśnił i wytłomaczył ducha współczesnej rewolucji... coś nie coś czytało się

o wielkiej rewolucji francuskiej, później o rewolucjach w 48 roku w Berlinie, w Wiedniu, a swoją drogą obecnie to się wcale połapać nie można?... Zapytany odwrócił się szybko i już z dobrym uśmiechem kontynuował przerwane dowodzenie.

— Rewolucja górą—to dobrze! rewolucja zgnieciona to jeszcze lepiej... Panowie się śmiejecie?... Bo nie znacie podstaw psychologji dziejów, psychologji powstania i upadku narodów... Panowie!... jeżeli ciężko chory poddaje się operacji i operacja udaje się... to dobrze czy źle.. dobrze nieprawda?

— Ależ naturalnie dobrze—odrzekliśmy...

— A teraz, panowie, jeżeli zdarzy się taki chory, który operacji za nic poddać się nie chce, to jak panowie myślicie, czy to dobrze czy źle?

— ?...

— To dobrze panowie, to bardzo dobrze, to taki chory umiera i wtedy jednego niedołęgi mniej na świecie! Przecież to jasne jak słońce.. Panowie może powątpiewacie, że dowodzenie moje jest logicznie zbudowane?

— Idź pan spać ze swoim rozumowaniem!

— Dobrze, idę spać! Odi profanum vulgus... dobranoc panom!

— Pójdziesz pan spać, ale pierwej pomyj szklanki i talerze, dziś pański dyżur.

— Właśnie nie będę. Co to do licha gwałcić cudzą indywidualność.. dziś do takiej podłej roboty nie jestem usposobiony.

— Nie dostaniesz pan wieczorem herbaty!

— Co? gardzę herbatą, kawą i całym waszym podłym jedzeniem.. zresztą szklanki i talerze pomyję, ale ostatni raz!

Nie wiadomo, na czym by się wszystko skończyło, gdyby nie niespodziewana interwencja Szczurkowa, który nagle ukazał się we drzwiach:

— Szto za szum mołczite gospoda!

Ton minorowy wkradał się pomiędzy nas coraz bardziej. Ze świata dochodziły głuche niewesołe wieści.

Podobno w Lublinie, na zasadzie jakiegoś paragrafu o stanie wojennym, rozstrzelano kilku politycznych bez sądu. W gub. Nadbaltyckich oddziały karne równały całe

wsie z ziemią. Z miasta dochodziły głuche lecz z poważnych źródeł wieści, że i do kilku z nas ma władza zastosować najwyższy stopień kary — dla przykładu! Kolega Ramlau dowodził, że z pewnością dwuch, trzech najmniej rozstrzelają. Opozycja usposobiona dotąd optymistycznie, milkła! Szczurkow, jak tryby maszyny dawno nie smarowanej, skrzypiał coraz głośniej! Wpadał w nocy, świecił rozbudzonym latarką w oczy, kazał się podnosić z posłań, macał własnoręcznie, czy pod kołdrą znajduje się prawy jej właściciel wreszcie wywoływał z listy po nazwisku.

*

* *

Wspominając nasz pobyt w więzieniu, skarżąc się na drobne względnie przykrości, których nie umieliśmy znosić jak przystało, nie mogę pominąć milczeniem tych, z którymi los zbliżył nas przypadkowo, tych nieszczęśliwych, którzy już odeszli *„za straszną górę tracenia"*. Mam tu na myśli kryminalnych przestępców, skazanych za zbrodnie na ciężkie roboty. Prawie wszystkie cele drugiego piętra zajęte były przez nich; wspólny korytarz, na którym spotykaliśmy się ciągle, zbliżał nas z nimi z konieczności. Nieustający prawie na chwilę brzęk kajdan tuż pod naszymi drzwiami (skazańców tych wypuszczano kolejno) z początku raził nas, wzbudzając mimowolną odrazę. Gdyśmy jednak zbliżyli się do nich, poznali ich dolę, w sercu niejednego odezwała się głęboka litość i żal tych zmarnowanych ludzkich istnień. Pomimo wszystko w stosunku do nas byli oni panami sytuacji, i przyjęli nas jak intruzów. Ten i ów z kolegów radził poskarżyć się władzy więziennej, lecz ostatecznie przemogło zdanie, że na tych ludzi skarżyć się nie wolno nikomu, a tymbardziej nam. Przeciwnie, postanowiliśmy skorzystać z krótkiego pobytu i postarać się o ile to możliwe, pozyskać ich zaufanie, aby następnie przynieść im chociażby ulgę moralną.

Trochę jadła, czasem zbywającego lub umyślnie zostawionego, czasem papieros, coś do czytania, chociażby strzęp starej gazety, to znów koszula, wreszcie dobre ludzkie słowo zrobiły pomału swoje. Wdzięczni nam byli za to niepomiernie i jak mogli, starali się odwzajemnić. Ostrzegali naprz. o zbliżającym się Szczurkowie, zawiadamiali o nocnym

przybyciu różnych osób świeżo aresztowanych, powtarzali o zmianach zaszłych w mieście, wreszcie ofiarowywali swoje usługi, chcąc bezinteresownie nosić za nas drzewo z dołu, zamiatać izbę, myć statki.

Nieraz rano było jeszcze szaro, kiedy rozlegało się dyskretne, a umówione do drzwi pukanie.

Jeden z nas, zwykle kolega Jaroszewski, który pod tym względem doszedł do doskonałości, cichutko porozumiewał się ze stukającym.

— Wiecie panowie,—mówił—znów mamy nowych lokatorów. Przywieźli adwokata przysięgłego Kleina, doktora Cholewińskiego i sporo wójtów i pisarzy gminnych.. przepraszam—jeszcze puka.

— A co tam?

— Nic, panie sędzio, tylko my tu chcielim prosić panów, czy nie mają jakiego takiego tam pisania o Polsce..

— Tymczasem jeszcze nie... ale będzie.

— Oj, kolego Jaroszewski ostrożnie bo wpadniecie, — ostrzega ktoś z ostrożnych.

— Wpadnę to wpadnę, ale przecież tym nędzarzom nie można tego odmówić... Wiecie panowie, że to nawet nie takie łotry, jak sobie wyobrażałem!

— Puk, puk, puk!

— A co tam?

— Panie sędzio we więzieniu jest prokurator... już są na schodach.

— Ps!.. ps!...

Tymczasem nie był to sam prokurator, lecz jego pomocnik. Do nas wszedł w czapce. Nikt nie powstał, ani przywitał go nawet spojrzeniem. Towarzysz prokuratora, był dobry nasz znajomy, niedawno zasiadaliśmy z nim razem w jednym komplecie, przy sądzeniu spraw w Zjeździe Sędziów Pokoju. Zauważył widać, jaką przykrość nam wyrządził swoim zbyt urzędowym zachowaniem się. Zdjął czapkę i przywitał się z bliżej stojącymi.

Ale wracam do przestępców kryminalnych. Często przy przypadkowym spotykaniu się z nimi, na korytarzu lub w innych ubikacjach, wdawaliśmy się z nimi nieraz w dłuższą gawędę. Za to najwięcej byli nam wdzięczni.

— Że też to panowie sędziowie chcą jeszcze z nami gadać.. toć my nie ludzie, nas tu każdy może jak psa potrącić! Że-

by to dawniej tak kto do nas mówił? Teraz dopiero to człowiek wi, bez co to jest rewolucja i bez co panowie chcą, coby było w sądzie i gminie po polsku!

Gdy rozeszła się wiadomość, że nas mają wywozić, chociaż był to alarm na razie fałszywy, bardzo się pomartwili ci nieszczęśliwi.

— Mój Boże,—mówił do mnie Andrzej Smoluch, skazany za zabójstwo ojca żony na 12 lat ciężkich robót... — przy panach to człowiek zapomniał, czym dziś jest... nie zapiram się, że zabiłem „pana-ojca"... alem teraz przejrzał na oczy! Bo dawni, panie sędzio, to ja myślałem, że wszystkie ludzie to dranie i te proste, i te z panów i te od księży.. co ja we swoi wsi widziałem! Dziedzic kozakami las wycion, choć mielim na lesie serwitut, a brata moigo, co nie dawał lasu, kozuń jeden zabił,... późni na pochowek, tom się wszyscy zniszczyli Drogo, mówię, ojcze duchowny... drogo!... to nam kazał krowę sprzedać... no i sprzedalim. Oj, byłbym zaraz zrobił obrządek, alem się bał Pana Boga, boć to zawsze osoba duchowna, sługa boży!... Chodziłem o ten las do komisarza na skargę, alem się nijak dogadać nie mogli, bo on z Rosji dopiero przyjechał i naszy mowy nie mógł zrozumieć... chodzilim do komisji... ale sprawe odkładali na dziedzicowych świadków, a tu w domu bida coraz większa, ani powroza, ani goździa, ani palca o co zaczepić!... a „pan-ojciec" co był u nas na deputacie, dusił w komorze dwasta rubli... Czekalim z kobito cierpliwie, co może zamrze, bo był dychawy, a on żył i żył... jeszcze do jadła to był coraz skorszy... Mówię ja raz do niego po dobroci: dacie ojcze, czy nie dacie choć jedną stówkę na krowę i podatek?... Ale gdzie tam, stary jeszcze porwał się na mnie... przeklęta godzina! złapałem siekierę i zdzieliłem bez łeb!... Psiakrew ten nasz kraj!

. . . .

I tak często i długo rozmawialiśmy ze Smoluchem, lecz przyszedł nareszcie taki dzień, że rozmowa nasza była ostatnią i trzeba było się rozstać...

— No, zostańcie Smoluchu, z Bogiem — ... bo cóż mogłem powiedzieć człowiekowi, którego czekało 12 lat katorgi?... — Zostańcie z Bogiem.. da Bóg... — tam nie wiedziałem, co dalej mówić.

— Panie Boże zapłać panu sędziemu!

. . . .

Nie wiem już, jak to się stało, ale głowa Smolucha znalazła się na moich piersiach, a ramiona moje objęły tego już nie człowieka!

. . . .

I wspomnień bolesnych burza szarpnęła moją duszę... gdzieś w odległej dali zamigotała jasna czyjaś postać, leżąca na progu sali sejmowej... widziałem jak bronił się przed zgrają łotrów... jak nie chciał by ziemia nasza takich jak Smoluch rodziła chłopów... i takich panów... i takich pasterzy! A w otwarte okno więzienia wpadły rzewne głosy starych tumskich dzwonów, tych dzwonów, co patrzyły już na różne zmiany kolei naszego życia i w których mowie słyszałem jakoby słowa: przez pracę i ból!

* * *

Mniej więcej po jakich dwóch tygodniach naszego pobytu w więzieniu, niespodziewanie zawołano kolegę Ig. Grabowskiego do kancelarji. O ile nie były to odwiedziny kogo z rodziny lub znajomych, takie wywoływanie zawsze robiło na nas wrażenie. Ponieważ nieobecność Gr. trwała dość długo, kolega Ramlau nie omieszkał snuć różne ponure wnioski.

— No, przekonacie się panowie, że od Grabowskiego zaczną... to nawet bardzo zrozumiałe, wszak to moralny sprawca naszej obecnej sytuacji...

Gdy nareszcie Gr. wrócił, spostrzegliśmy że jest jakoby osowiały i zamyślony.

— Mówcie, co takiego? zawołano z kilku stron!

Zapytany spojrzał po nas, ale ciągle jakoś zamyślony i za nim zebrał się na odpowiedź, już Ramlau zarzucił go naraz kilkoma pytaniami.

— Więc co? — powiedźcie? sąd wojenny, czy zesłanie? A może i o nas co wiecie?!

— Ani jedno, ani drugie, kazano mi być gotowym do drogi i za parę dni mam wyjechać za granicę!

Wszystkiego się spodziewaliśmy, ale nie takiego rozwiązania. Jak to, on jeden z głównych winowajców ma wyznaczoną karę, o jakiej wszyscy marzymy dawno?...

Przeczucie nam mówi, że to jakieś nieporozumienie. Nikt z nas bez wiedzy pozostałych, na własną rękę nie starał się o uwolnienie, uważaliśmy, że byłoby to nieetycznie, a to głównie przez wzgląd na ławników, którzy powinni byli się przekonać, że umiemy ponosić konsekwencje naszego postanowienia i że ich nigdy samych nie pozostawimy w więzieniu, o ile to będzie zależeć od nas.

Jednej z następnych nocy, coś około 12 godziny, odwiedził nas sam pan naczelnik więzienia w asyście wszyststkich prawie podwładnych. Najpierw policzono nas starannie, następnie sprawdzono nazwiska, imiona własne nasze i ojców naszych, potym podzielono na dwie partje, przenosząc mniejszą, składającą się z czterech, do oddzielnej celi, przezwanej w gwarze więziennej „robaczywą“.

Ten pierwszy podział odczuliśmy boleśnie. Nie spaliśmy już do rana, chociaż cisza panowała zupełna. Na poddaszu tylko nad nami słychać było jakąś bieganinę, jakby przesuwanie znajdujących się tam kufrów i waliz. Będą więc wywozić... ale ponieważ nas rozdzielono, więc nie wszystkich. Ale kogo? Nas, czy tych czterech? Jeżeli mają wywozić, to dokąd?

Rano o godzinie piątej kazano nam się ubierać, dodając, że do wyjazdu zostaje trzy godziny. Nikt, ani naczelnik, ani pomocnik jego nie mogli nic powiedzieć o celu naszej podróży.

— Sam nie wiem,—mówił tajemniczo naczelnik,—otrzymałem w nocy rozkaz, żebyście panowie na 8-mą rano byli gotowi, dokąd, to panów zapewne objaśni dowódca konwoju...

Kolega Ramlau spoglądał na nas jak wódz na zdobyte miasto.

— A co, nie mówiłem wam nieraz, że to się źle skończy?... pewny jestem, że i ten przymusowy wyjazd kolegi Grabowskiego za granicę, to także jakiś „kawał“... Z pewnością urządzą go tylko osobno... no, bo moi kochani, powiedźcie sami: dzielą, wywożą partjami, to znów jednego wysyłają oddzielnie... po co to? A jak wczoraj powtarzałem przed wami o kursującej po mieście pogłosce, że władze wojenne są za tym, żeby kilku z nas rozstrzelać, toście się śmieli.

Nikt już nie zbijał wywodów kolegi R., tej naszej więziennej kasandry, nawet kolega Płoski, dotąd pełen otuchy

i dobrego humoru milczał, rozdając apatycznie spore jeszcze zapasy pomarańcz, fig i daktyli:

— Proszę was, jedzcie panowie, i tak pewno by się zmarnowało...

O godz. 8-ej zawołano nas do kancelarji, gdzie zaraz otoczeni zostaliśmy przez żołnierzy. Wszystkie nasze pieniądze, zegarki, inne drobne przedmioty zapakowano w jedną paczkę, opieczętowano i wręczono za pokwitowaniem oficerowi, dowódcy naszego konwoju.

Na pociechę dołączono do naszej partji d-ra Cholewińskiego, który dotychczas siedział oddzielnie w pojedyńczej celi, a także aptekarza, Jurakowskiego. Ktoś z nas pocichu zauważył, że może po drodze i ksiądz się jaki znajdzie?

Otoczeni półszwadronem dragonów odrazu ostro ruszyliśmy z przed bram więzienia ku Bielskiej rogatce. Kolega R. zaczął znów snuć przeróżne smutne nowiny.

— A, wiecie, panowie, — mówił, że kierunek podróży nie bardzo mi się podoba?...

??...

— To widać nie wiecie, gdzie jest obóz wojskowy.. plac strzelny?

— Czyżby — bąknął ktoś.

Nawet dr. Cholewiński, zawsze zrównoważony, stracił pewność siebie.

— No panowie, to przynajmniej wiecie za co?..: ale ja? dalibóg nie domyślam się nawet, za co mnie?... zresztą pal sześć, jak razem, to razem!

Pomimo grozy położenia, nastrój nasz poprawiał się. W gronie naszem nikt zresztą na serjo nie myślał o śmierci, niewiadomość tylko najbliższej przyszłości więcej drażniła niż przerażała może. Najwięcej jeszcze desperował świeży, a mało nam znany towarzysz niedoli aptekarz Jurakowski. Nie przyzwyczajony do ponurych horoskopów, stawianych tak często i uporczywie przez kolegę Ramlan'a, odrazu wpadł w pesymizm.

— Mnie tam nikogo nie żal, — mówił, nawet apteki.. tylko żal mi mojej Andzi...

Bylibyśmy może wtedy zaznajomili się z historją jego serca, gdyby nie surowy głos d-ra Cholewińskiego, który przerwał wynurzenia p. J.

— Co pan nam głowę będzie zawracał teraz jakąś tam

Andzią?... Patrzcie panowie! obóz wojskowy już widać... jeżeli dobrze widzę, panuje tam ruch jakiś niezwykły.

Rzeczywiście kolumny wojska zbliżyły się w kierunku szosy, oficer dowodzący naszym konwojem skomenderował i wnet żołnierze ściślej nas otoczyli a on sam podjechał blisko, lustrując zawartość wehikułu.

Cisza nastała... nikt nie śmiał nie tylko się odezwać, ale pytać i wzrokiem, nawet konie zwolniły... oczekiwaliśmy chwili kiedy każą nam wysiąść.

Mijaliśmy jednak całe kolumny wojsk, zebranych przy drodze, tak, że w końcu pozostały one daleko w tyle za nami. Jakby ciężka mgła opadła. Minęliśmy Goślice, skręcając na prawo szosą ku Starożrebom.

Ciche, smutne pola!

Początek był lutego, jeszcze zima i chłód, a już w powietrzu jakby wigilja wiosny.

Odparzane przy brzegach lody dusiły jeszcze powierzchnię wód, gdzieniegdzie jednak nikła zielona trawka nieśmiało szukała słońca, światła! Szare plamy śniegu na stokach wzgórz sączyły ze siebie brudną wodę.. W duszach naszych to smutek, to nadzieja naprzemian mieszały się razem. Obawa o tę młodą wiosnę, o listki zielone, o pąków młodych byt! I myśl nasza mimowoli zwracała się ku wschodowi, skąd zawsze przybywał zimny powiew, mrożący wszystko, nawet myśli nieśmiałe pędy!

A czasem znów zdawało nam się, że na tym smutnym tle natury, my ludzie najciemniejszą byliśmy plamą!

Dlaczego nas więżą, dokąd wiozą, dla czego pilnują?.. za co?

Dlaczego ludzie ludzi męczą, dlaczego jedni drugich piją krew serdeczną?

Żołnierze z konwoju posmutnieli, i na tych ciemnych prostaków spadła zaduma. Słychać było tylko człapanie końskich kopyt, czasem czyjeś głębsze westchnienie..

Smutek szedł skądciś i padał na wszystko, bez niczyjej woli, niczyjego rozkazu, padał jak mgła, wchodził w dusze, przepełniał serca..

— Zaśpiewajcie co! — prosiliśmy.

I wnet z żołnierskich piersi rozległa się smutna melodja... przeniosła nas ona myślą nad wielkie bezbrzeżne równiny Wołgi, tej rzeki — olbrzyma, która własną żywą piersią dotyka cierpiących istnień miljony!

Kupiec wesoły powracał do domu
Ani się namknie ni ustąpi komu
tra—la—la; tra—la—la...
Zatrzymał się we wsi, zwołał ludu siłę
I pił z nim na umór, prawiąc słówka miłe...
tra—la—la..
Do dziewki wstydliwej rwie się przemocą,
Chciałby z nią pohulać z wieczora i nocą...
tra—la—la...
Wstydzi się dziewka, prosi i wyrywa
Matkę-staruszkę na pomoc przyzywa,
tra—la—la..
Matka odpycha od dziecka brutala,
Który łono córki brudną żądzą kala!
tra—la—la..
Kupiec się śmieje i rublami trząsa
„Wot durna dziewka jeszcze się dąsa."
tra—la—la..
„Nie chcesz—nie trzeba, za pieniądz, za złoto,
Pójdzie każda inna choć w najgorsze błoto."
tra—la—la...
Lecz ojciec dziewki nie taki był głupi,
U niego kto płaci, ten żywego kupi.
tra—la—la...
„Więc krzyknie na żonę „wynoś się do czarta
Kupiec dobrze płaci, dziewka tysiąc warta."
tra—la—la—
tra—la—la—
tra—la—la—

— — — — — — — —

Cała wieś usnęła, kupiec hula pije,
Dziewka rankiem wraca, ojciec jej nie bije!

— — — — — — — —

Pełen wór złota rzuca mu pod nogi,
Zrumieniona cała, jak jesienią głogi...

— — — — — — — —

Pieśń umilkła... echo jej tylko drgało przez chwilę... Jeszcze zdawało się, że nic nas nie dzieli, że przeciwnie coś połączyło serdecznie...

Jeden z kolegów zagadał do najbliższego żołnierza:

— Czto bratec.., żal dziewki?

— Niczewo bariń.·. tak uż dołżno byt!

— . . . . . Smir—no!—rozległa się komenda.

Żachnęli się ludzie, żachnęły konie! pomiędzy nas i tych co śpiewali padło ostre jak stal słowo komendy... I pierzchnął czar, rozwarte ramiona—opadły, jakby wyciągnięte do uścisku bratniego dłonie... zwisły, jedne szukając rękojeści szabli, drugie w bezsilnym gniewie zaciskając pięście:

Dojeżdżaliśmy do Starożreb.

Oficer, dowodzący konwojem, zbliżył się tuż do naszego ekwipażu...

— Tak nielzia, gospoda.. arestantam wozpreszczajetsia rozgowariwat z konwojnymi!

Zapanowało przez chwilę przykre milczenie. Oficer wiedział, że spełnił tylko swoją powinność służbową, probował więc nawiązać rozmowę.

— Nu, sława Bogu Starożreby—oddochniom·

Wtym kolega Swięcicki, który bacznie przyglądał mu się, zawołał:

— Pietruszkin! jak się masz?

Zdumiony oficer spojrzał pytająco. Święcicki nie dał jednak za wygranę.

— Pietruszkin, cóż ty nie poznajesz dawnego kolegi.: jestem Święcicki, razem przecież byliśmy w szkole wojskowej... byłem twoim „wzwodnym"..*) pamiętasz?

Chociaż krępowany obecnością podwładnych żołnierzy, rotmistrz serdecznie wyciągnął dłoń.

— Daruj kolego—daruj, doprawdy nie przypuszczałem nigdy, że cię tu spotkam .. ot służba!

Odnowiona pomiędzy dawnymi kolegami znajomość wszystkim nam była na rękę. Zawsze to coś znaczyło w naszem położeniu, że nawet chwilowy „pan życia i śmierci" był z jednym z nas na „ty". Zaraz też postanowiliśmy wyzyskać tę korzystną sytuację.

— Panie rotmistrzu, pytaliśmy już śmiało, „dokąd nas wieziesz?"

— Sam jeszcze nie wiem, odpowiadał zagadnięty, mam rozkaz zapieczętowany, i wolno mi go otworzyć dopiero w Starożrebach.

— W Starożrebach?—zawołał kolega Ramlau, czy tam, panie rotmistrzu, stoi jakie wojsko?

— Coś nie coś kozaków... tak tylko dla porządku.

*) Podoficer dowodzący oddziałem.

Połowa gniotącej zmory spadła z nas, prawie, że napewno jedziemy do Modlina.. chociaż twierdza ta ma złą opinję.

— Panie rotmistrzu, jak się panu zdaje, wieziesz nas do Modlina?

— Napewno nie wiem.. ale zdaje się, tak.

— Czy komendant Modlina to ludzki człowiek?.. czy on dużą ma władzę, czy to prawda, że w Modlinie słychać po nocach strzały?—pytał znów gorączkowo jeden z nas.

— O tak! komendant straszny służbista, co do władzy, to i tak jako komendant twierdzy ma wielką, a cóż dopiero obecnie, przy stanie wojennym... Co do strzałów... nie wiem, ale to możliwe, sąd wojenny działa.

Dojechaliśmy wreszcie do Starożreb. Rotmistrz wziąwszy od nas „słowo", że nikt się daleko nie oddali i że za małą godzinę wszyscy staniemy przy naszych furmankach, pozwolił nam się rozejść.

Zupełnie wolni po raz pierwszy od kilku tygodni zmieszaliśmy się z tłumem, który otoczył nas ze wszystkich stron.

— A gdzie nasz sędzia? wołano.

Poszukaliśmy kolegi Małcużyńskiego' który zawstydzony objawami żywej, a niekłamanej sympatji schował się gdzieś za wozem· Gdy nareszcie w tłumie spostrzeżono swego sędziego, witano się z nim serdecznie. Baby lamentowały głośno.

O, mój paniuchniczku złoty, wołała jedna, niech panulek weźmie tę poduszeczkę, przyda się do spania, inna znów częstowała świeżym masełkiem.

Chłopi kułakami gnietli ślepia, mrucząc złowrogo. Ktoś z tłumu zawołał „psiakrew!... co będzie, to będzie, nie damy naszych sędziów!" Koledze M. ledwo się udało wytłomaczyć zebranym, coby za skutki opłakane dla nas pociągnęła najmniejsza ze strony tłumu interwencja na naszą korzyść i w naszej obronie. Rotmistrz zawiadomiony przez podwładnych o nastroju zebranego tłumu skomenderował:

W drogę — marsz!

*

* *

Już nie wygodnym względnie omnibusem, ale na małych chłopskich wózkach, po dwuch na każdym, odbywaliśmy dalszą podróż.

Pozwolono nam dobierać się wedle gustu; jechałem razem z kolegą Płoskim.

Późnym już wieczorem stanęliśmy w Płońsku, gdzie ulokowano nas na noc w miejscowym więzieniu. Były to ostatnie chwile względnej swobody, wspominam je też z wdzięcznością. Miejscowe władze więzienne traktowały nas po ludzku, pozwalając na wszelkie ustępstwa, byle zgodne z przepisami.

Z Płońska do Modlina znów powlekliśmy się „gęsiego" furka za furką, poprzedzielani partjami żołnierzy, którzy z obnażonymi pałaszami, a to pewno pod wrażeniem groźnej a niedalekiej już twierdzy, surowe mieli i groźne miny. Straciliśmy ochotę nietylko do żartów, ale nawet i do gawędki głośniejszej; szeptano do siebie tylko półgłosem.

Wkrótce ukazały się przed nami ponure kontury twierdzy. Mijaliśmy najpierw wysunięte oddzielnie forty z uczuciem, ze spadamy w jakąś czeluść, która za chwilę pochłonie nas wszystkich. Nagle orszak cały zatrzymał się, oficer popędził przodem i stanął dopiero przy bramie, strzeżonej przez szyldwacha. Widocznie załatwiano tam jakieś formalności, które chociaż trwały krótko, nam się bardzo dłużyły. Niechby już prędzej stało się to, co stać się ma!

Nareszcie ruszyliśmy. Długie ciemne sklepienie, mocne, granitowe. Nietylko ręka czuła się tu bezsilną, ale i myśl nawet nie śmiała przebić się przez nie! Echo własnych podwód i człapanie koni wytwarzały piekielny łoskot, który uciekając przed nami wskazywał jakby drogę, tędy..., tędy!

Raptem z przodu buchnęło światło. To koniec sklepienia, wnętrze fortecy. Z początku zrobiła ona na nas wrażenie przeciętnego miasta. Domy, ulice, cerkwie, żelazne parkany, klomby i drzewa, a pomiędzy tym wszystkim ludzie. Kto jednak spojrzał głębiej, ten z łatwością spostrzegł wielką róznicę. Wszystko tu było jakby przyczajone i potulne czekało czyjegoś rozkazu. Na wszystkim znać było cechę tymczasowości i pewną nienaturalność. Żołnierze, jak statyści udawali publikę. Domy naprawdę nie były domami, a tylko tyłami fos i fortów. Drzewa, co nigdy nie widziały wolnej przestrzeni, jakieś sztywne i smutne—ani widok

maleńkich kwietników przed oknami, ani balkony, ozdobione bluszczem, ani nawet widok strojnych dam, spacerujących tam i z powrotem po placykach i uliczkach, nic nie mogło nikomu kazać wierzyć, że to jest normalna ludzka siedziba...

Po długich nawracaniach, błądzeniach, orszak nasz nareszcie zatrzymał się przed piętrowym budynkiem. Szyldwach, stojący na straży, uderzył w dzwon, wyszli na front żołnierze, ustawiając się szeregiem.

Następnie ukazał się wyższej rangi oficer w asystencji adjutanta. Dom, pod którym stanęliśmy, była to komendantura twierdzy, zaś starszy oficer był placmajorem.

Przybycie nasze do twierdzy, chociaż przyzwyczajonej do podobnego rodzaju odwiedzin, wywołało wśród żołnierskiej ludności pewną sensację: „Prywieźli polskich sudjej„' szeptano dość głośno w gromadkach, gapiących się na nas żołnierzy. Wogóle przyjęto nas nieżyczliwie.

— Wot czorty popaliś!

— Polskie jaśnie pany!

Takie i tym podobne epitety dolatywały nas, czekających pokornie swego losu przed komendanturą. Do tego stopnia nie robiono sobie z nami ceremonji, że aż widocznie plac-major coś usłyszał.

— Sołdaty won!—krzyknął surowo na gapiów. Gdy rozkaz nie poskutkował odrazu, plac-major zwrócił się do stojącego tuż adjutanta.

— Prykażite strelat w etu swołocz!

— Słuszaju połkownik!

Nie upłynęła jednak nawet minuta, gdy srodzy wojacy, którzy nas tak niegościnnie przed chwilą przyjęli, rozproszyli się jak stado wróbli, gdy w nie jastrząb uderzy. W wylotach uliczek, bram i zaułków widać już było tylko znikające plecy synów Marsa..

Na placu pozostaliśmy w otoczeniu konwoju, twarzą w twarz z człowiekiem. który był tu widocznie wszechwładnym, boć przed chwilą w naszych oczach groził śmiercią, za zbytnią tylko ciekawość, świadkom mimowolnym naszego przyjazdu. Nie zapieram się, że scena ta wywarła na nas przygnębiające wrażenie. Nikt nie śmiał się odezwać, każdy radby wtedy zakopał się był w garść słomy, na której siedzieliśmy na wozach. Od niechcenia i mimowoli ten i ów z nas spojrzał się w stronę wozu, na którym siedział zmie-

szany na twarzy kolega Ramlau Oczy jego zdawały się mówić: „A co? nie uprzedzałem was, a śmieliście się ze mnie, tu życie ludzkie wisi na włosku!“ Była to chwila, w której wszyscy przyznaliśmy, że kolega R. umiał orjentować się w sytuacji.

Nareszcie po jakim kwadransie, gdy rotmistrz z placmajorem obeszli kilkakrotnie cały świeżo przybyły transport, kazano nam zejść z wozów i wejść do wnętrza komendantury. Gdy stanęliśmy ze skromnymi tobołkami przed placmajorem, ten obejrzał wszystkich powierzchownie; surowo zapowiedział że w fortecy trzeba mu bezwzględnie we wszystkiem ulegać, następnie kazał adjutantowi odprowadzić nas do fortu № 1, zapowiadając niedługo tam swoją bytność.

Po przybyciu do fortu, wprowadzeni zostalismy do dużego pokoju, rodzaju kancelarji, gdzie kazano nam się ustawić szeregiem, z którego podchodziliśmy do dwuch podoficerów, mających obowiązek scisłego rewidowania. Pomimo, że parę tygodni temu obrewidowano nas w Płocku do koszuli i pomimo, że niemieliśmy żadnych stosunków ze światem zewnętrznym, każdy prawie zdołał zaopatrzyć się w drobiazgi, tak niezbędne dla ludzi przyzwyczajonych do pewnych potrzeb życiowych. I znów, tak samo jak w Płocku, rosła na stole przed adjutantem kupka róznych drobiazgów. Jednemu zabrano grzebień, bo był metalowy, innemu flaszkę wody kolońskiej, bo szkła nie wolno, zabierano także portmonetki, bo w nich były pieniądze, zabierano wreszcie zegarki srebrne i złote, bo takowe łatwo zamienić by można na monetę. Szczególnie starannie poszukiwano tytuniu, papierosów i noży. Pomimo jednak wszystko, udało się kilku z nas tak manipulować, że zamiast podejść do rewidujących podoficerów, odrazu po za plecami kolegów przechodziliśmy do tych, którzy już odbyli rewizję. Było to trochę ryzykowne, lecz perspektywa, że wszyscy zostaniemy pozbawieni paliwa i nożyków przemogła wszelkie obawy. Zjawił się niedługo plac-major. Był to człowiek dobrze wychowany, nie wymyślał nam jak inni, od czasu do czasu tylko pozwalał sobie na żarciki. Na niektórych robiło to wrażenie, jak gdyby ubolewał nad naszym losem i nawet przemyśliwał, jakby go złagodzić.

— Może panowie macie co do powiedzenia, może chcecie o co prosić, mówcie śmiało!

Tego tylko było nam potrzeba!

— Panie pułkowniku, czy będziemy mieli znośne pomieszczenie i czy opalone?

— O tak, zdaje się, że niezłe... Duży wygodny pokój, nawet niezbyt wilgotny, możnaby w nim pomieścić śmiało ze trzydziestu, a panów będzie tylko czternastu...

— A życie, panie pułkowniku?...

— Tymczasem kazionne, po wojskowemu z kotła... ale grochówka, a szczególniej barszcz, a czasem i kartoflanka znakomite... do tego herbata, chleb...

— A czy możemy sobie co dokupywać do jedzenia?

— Dla czego nie? Przecież panowie złożyliście u mnie blizko dwa tysiące rubli, więc jest chwała Bogu za co! Tylko pomaleńku! Jak to przysłowie mówi: pożywiom-uwidim!.. Wybierzcie panowie z pośród siebie jednego, ten codzień poda mi zapiskę, wiele i czego, a tam zobaczymy!

— Panie pułkowniku, mówiono nam, że moglibyśmy dostawać za własne pieniądze obiady z klubu oficerskiego?

— Obiady, obiady! ot w czym sęk. Komendant niechętnie na to się zgadza... Bo tu, panowie, nie tiurma, a for-te-ca!

— A listy do rodziny pisać wolno?

— Ot zaraz i listy... jeszcze się nie rozejrzeli, a już listy; ale wolno, przecież to jest for-te-ca!... tylko takie już prawo, taki przepis, zwykła formalność, listy muszą być oddawane na moje ręce... O fortecy ani słowa, w politykę się też nie wdawać, ot tak tylko o zdrowiu; przypominam, listów nie pieczętować... nie żadna to ciekawość... służba... co robić? Tak samo, jeżeli do was list przyjdzie, wybaczcie panowie... muszę go pierwej przeczytać...

— Panie pułkowniku, a jak kto chory jak nap. ja obecnie,—pytał kolega Święcicki,—czy mogę się poradzić, dostać lekarstwo?

— Ależ naturalnie, czyżby mogło być inaczej?... panowie, tu nie jest więzienie tylko for-te-ca! Nawet wie pan co? Jeżeli pan bardzo cierpi, to mogę zarekomendować doskonały środek...?

— Ależ, panie pułkowniku, dziękuję, cierpię na nerki...

— Nerki... właśnie na nerki mamy sol[illegible]

Święcicki podziękował, wmieszał się w rozmowę dr. Cholewiński i pułkownik przestał zalecać środki z miejscowej apteki. Tymczasem oficer dyżurny zwiastował, że nasze pomieszczenie gotowe. Pułkownik pożegnał nas, zdając całą swoją władzę na oficera dyżurnego. Pierwszego dnia

mieliśmy szczęście, gdyż dyżurny oficer był to poczciwy chłop. Sam nam się zaprezentował. Nazwał się Gonczarenko. Był to typ często spotykany w wojsku wśród oficerskiej braci, typ malkontenta. Sam małorus mówił nieźle i po polsku.

— Przeklęta służba,—mówił, orzesz, orzesz i nic z tego nie wychodzi! Ot ja, już piąty rok trąbię podporucznikiem! Koledzy jednego wypuska dawno już poruczyki a to i sztabskapitany!

— Dla czego pana nie awansują?—pytaliśmy.

— Dla czego? bo ja nie potrafię, jak to mówią, „bez myła leźć“ w klub nie chodzę, dam pułkowych nie obtańcowywam ot i siedzę w subałternach*)

— Ależ tak nie można, p. poruczniku, trzeba coś z siebie zrobić!

— Moja to już propała, ot jeździł ja już dwa raza w akademju egzamin dierżat', obrezali..., teraz to ja się zajmuję więcej po czasti socjalnowo woprosa. Podług mnie cały nasz ustrój ni k'czortu! Dla mnie, gospoda, to wszystkie ludzie bratja i ojczyzna to jest stare, ciasne pojęcie... przeżyta ideja! Długo w noc gawędziliśmy na ten temat, paląc jego papierosy, których nam nie żałował Pożegnał się z nami na zawsze, gdyż jak nas objaśnił, podał się do dymisji..

Na drugi dzień przed zmianą warty wpadł jeszcze raz do nas Gonczarenko, uprzedzając, że za dwa dni będzie dyżurnym jeden z jego kolegów, który lubi „prydiratsia“ radził więc strzec się i wszystko, co jeszcze przy nas pozostało, dobrze pochować. Podziękowawszy za ten ostatni dowód życzliwości, zaczęliśmy przemyśliwać, jak i gdzie pochować parę setek papierosów i inne drobiazgi. Rzecz nie była łatwa. Wielki pokój bez żadnych mebli, żadnych zaułków ani zakamarków. Gładkie deski, na których sypiamy, z wąskim przejściem przez środek, piec z cegły i w górze długa żelazna rura. Ta ostatnia odrazu zwróciła naszą uwagę; na górnej powierzchni takowej, znajdującej się prawie w ciemności, rozłożyliśmy kilkaset papierosów. Ostatecznie, gdyby je znaleziono, można by się do nich nie przyznać.

---

*) Młodszy oficer w rocie.

15—I. Dziś od rana mieliśmy wizytę pułkownika. On—na korytarzu w asyście adjutanta, dyżurnego oficera, podoficerów i żołnierzy, my—za kratą wpatrzeni w jego oczy jak głodne zwierzęta, oczekujące karmienia. Każdy czegoś chciał, o coś musiał prosić. Ten marzy, żeby napisać list, drugi prosi o rejenta, trzeci skarży się, że chory, wreszcie ktoś bardzo prosi o większą ilość wrzątku do herbaty. Pozatym wszyscy prosimy o pozwolenie dokupywania sobie czegoś do jedzenia. Pułkownik ani obiecuje, ani odmawia, jakby się wahał. Nasze argumenty niby przekonywują go, jednak trudno nam wydobyć z niego: tak. Najwięcej przekonywa i dowodzi dr. Cholewiński, gdy wszystko nic nie pomaga, woła za odchodzącym pułkownikiem:

— Panie pułkowniku, przebyłem całą turecką kampanję, zarządzałem oddzielnym polowym szpitalem!..

Pułkownik słucha, kłania się po wojskowemu, uśmiecha i w końcu każe z pomiędzy nas wybrać jednego.

— Tak panowie nie można, trzeba wybrać gospodarza: on codzień poda mi do rozpatrzenia „zapisoczku"... a tam ja zobaczę, co można, co nie można!.,

16—I. Jaki tam jest nasz stosunek do pułkownika, w każdym razie liczą się z nami, przynajmniej dopóki on znajduje się w forcie.

Gorzej, gdy zostaniemy sami pod władzą dyżurnego oficera. Wtedy wszystko, całe nasze powodzenie, humor, usposobienie, ilość gorącej wody na herbatę, nawet rzadkie lub częste otwieranie drzwi, wszystko zależy od niego. Żołnierze jak kameleony zmieniają się także na poczekaniu. Wogóle znać, że są ku nam usposobieni wrogo i tylko o tyle się hamują, o ile widzą, że i władze wojskowe traktują nas lepiej. „Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ!" Dziś właśnie, jak uprzedzał o tym poczciwy Gonczarenko, o godzinie 12 w południe wpada do nas nowy dyżurny oficer z żołnierzami, uzbrojonymi jak do ataku w nasadzone bagnety. Żołnierze bez żadnej ceremonji spychają nas w róg izby i każąc podnieść ręce do góry, po jednemu wyprowadzają na środek przed oblicze surowego podporucznika. Przy poprzednich rewizjach, zarówno w Płocku, jak i w kance-

larji fortu, traktowaliśmy te ostatnie chociaż na serjo, ale z dużą dozą humoru: każdy sam się rozebrał, sam oddał, co trzeba było oddać, trochę się przy tym i śmiejąc i rozmawiając. Żołnierskie „ty", i „poszoł" i to w obecności oficera, odrazu zniwelowało nas do wartości jakiejś ludzkiej płachty, którą wolno potrząsnąć i rzucić w kąt. Za ukrywanie zakazanych przedmiotów nap. papierosów, pieniędzy, szczególniej zaś ostrych narzędzi, jak noży i nożyczek, a także książek i wszelkich trunków, czekała winnych surowa kara, podobno od ciemnego aresztu aż do chłosty... Wielu z nas nie było bez winy! Ten miał parę papierosów, inny jakąś książeczkę, lub list z domu przemycany, wreszcie ja sam miałem... scyzoryk!

Na pierwszy ogień poszedł kolega Płoski. Delikatne w takich razach palce żołnierzy wyczuły gdzieś w bocznej kieszeni jakieś papiery.: „Szto u tebia"!... „Wasze błagorodje," raportował tryumfująco żołnierz, „wot kakie to bumagi..."

Okazało się, że były to listy od żony i fotografje dzieci. Ponieważ jednak doszły one drogą, surowo zakazaną, istota przestępstwa była stwierdzona.

Przyszła kolej i na mnie. Mały scyzoryk, bez którego żaden z nas nie zjadłby kawałka spieczonego razowego chleba, ukryłem w wacie w samym rogu kożucha.

Już pierwszy rewidujący żołnierz chciał mnie zwolnić, gdy drugi raz jeszcze szczegółowo zaczął macać brzegi kożucha. Z wielkim tryumfem wydobył on scyzoryk, otworzył jego ostrze i w takiej niebezpiecznej formie podał dyżurnemu oficerowi.

— Wasza familja?

Odpowiedziałem.

Zapisano mnie do księgi kar, zapowiadając jednocześnie, że wyższa władza sama karę wyznaczy.

Gdy wieczorem dyżurny oficer przed naszymi drzwiami przedstawił pułkownikowi straszne „corpus delicti" znalezione przy mnie, pułkownik prawie zażenowany powiedział: „Nu pustiaki, a wsio taki nelzia!"

Na tym skończyła się cała afera.

Dyżurny oficer, jakby żałując swego postępku, zachodził do nas jeszcze parę razy i chciał nawet nawiązać rozmowę. Grobowe milczenie, niezwracanie na niego zupełnie uwagi, było całą naszą satysfakcją.

17—I. Czasem w przystępie dobrego humoru pułkownik dłużej wystawał przed naszą kratą, zabawiając się rozmową.

— Wiecie, panowie, że wczoraj znów dostałem porządny transport więźniów z Warszawy. Czort znajet!? Sam już nie wiem, za co teraz nie aresztują? A te warszawskie łobuzy, to gałgany skończone. Pytam wczoraj jednego: „Tebia za czto?"

— Pił kawę ze śmietanką, panie jenerale! Udałem, że nie zrozumiałem. Pytam drugiego:

— A tebia za czto?

— Mnie za to, że piłem bez śmietanki.

— Co było robić? roześmiałem się i odszedłem. Ale oni mają trochę racji.

Korzystając z dobrego humoru, prosiliśmy pułkownika, by nam pozwolił robić większe zakupy wiktuałów...

Ale tu się pokazało, że pułkownik nudził się w fortecy i czuł potrzebę wygadania się, nie dbając zresztą o nasz los.

— Jeszcze panom mało! szynki 4 f., masła 1 f. na dzień, tyle pomarańcz... wiecie, panowie, to nawet źle działa na innych więźniów, jak widzą takie stosy smakołyków do was znoszonych.

Trzeba się było z losem pogodzić· To, co czasem udało się nam sprowadzić, chowało się dla chorych, zdrowi i młodzi musieli się przekonać do jedzenia z kotła. Pułkownik powoli nas zaniedbuje, czasem go nie ma dzień i dwa. Najgorzej z papierosami. Z początku zabardzo się hulało, teraz zostało nam wszystkiego kilkadziesiąt — a trzeba pamiętać, że wszyscy prawie palimy. Ale potrzeba jest matką wynalazku. Papieros musi wystarczyć na jedno palenie dla wszystkich. Każdemu wolno po kolei zaciągnąć się raz, lecz nie zadługo; swoją kolejkę można ustąpić lub zamienić na inną rzecz, nap. cukier, papier etc. Papieros niedopalony chowa się na następny raz w szpary desek. Kelega Stępniewski wynalazł nawet ulepszoną metodę palenia, która zyskiwała coraz więcej zwolenników. Polegała ona na tym, że komu zwyczajne zaciąganie nie wystarczyło na długo, temu pozwalano zaciągnąć się ostatni raz, to jest wtedy gdy w gilzie nie było już nic tytoniu a tylko czarna, przepojona nikotyną wata...

Upadamy jakoś na duchu! Mówią niektórzy, że kto tu w twierdzy posiedzi dłużej—pokornieje, bardzo, nietylko wobec oficerów, ale nawet żołnierzy. Pewno to jest prawdą! My także zaczynamy bać się naszej władzy. Nieraz z uczuciem niesmaku dla samych siebie, ale z uśmiechem na ustach staramy się jeden przez drugiego odpowiedzieć na łaskawie rzucone nam słówko. Chociaż postanowiliśmy złych oficerów ignorować, nie udaje się nam to. Czasem za pozwolenie napisania listu, za czajnik gorącej wody, za wypuszczenie w porę na podwórze, traci się cały hart woli...

18—I. W sąsiedniej kamerze jest pełno, jak nasza władza nazywa „swołoczy" i „huliganów!" Są to po większej części rzemieślnicy, stróże, posłańcy, zabrani już to z fabryk, już to na ślepo z ulicy. Czasem, w pewnych okolicznościach, mamy sposobność porozmawiania z nimi! Mówią oni, że cytadela, lub pawiak to żarty w porównaniu z obecnym losem. Pewno! bo tu wszystko jest wstrętne i głupie. Zwyczajne otworzenie drzwi wymaga całego aparatu przeróżnych skombinowanych czynności. Ktoś z aresztantów woła: „Proszę mię koniecznie zaraz wypuścić." O ile takie wołanie powtórzy się kilkakrotnie przy akompanjamencie wołania i stukania, szyldwach, wyczerpawszy cały słownik egzotycznych wymyślań, nareszcie woła podoficera. Wtedy dopiero po paru minutach, po sprawdzeniu kto, dla czego i czy rzeczywiście potrzebuje, drzwi się otwierają i biedną ofiarę prowadzi żołnierz uzbrojony od stóp do głów do miejsca przeznaczenia. I tam jeszcze nie ma spokoju.

— Nu skoreje wychodi!...—nagli sterczący na dworzu szyldwach!

19—I. Dziś znów niedostarczono nam, ani szynki, ani bułek. Podobno pułkownik był zajęty i nie miał czasu podpisać „zapiski". Za to jednemu z nowoprzybyłych kolegów udało się przedostać wcale pokaźną osełkę masła. Z chlebem razowym znakomicie smakuje. Nowoprzybyli koledzy zarzucają nam pewne niedołęstwo.

— Co to nie ma obiadu. I w Płocku z początku tak samo nie było! Mamy swoje pieniądze! Ej... sołdat... poprosi połkownika lub deżurnawo!

— Małczy, czewo kriczysz, ja tebia!—odpowiada szyldwach, nie ruszając się z miejsca.

Nie korzystamy jednak z takiego zwycięztwa. Myśmy także przez to przeszli! Różne zachcianki jak obiady, szynka, masło, mleko, jaja, lekarstwo już nam wywietrzały z głowy. Doszliśmy nawet do przekonania, że to pewno „tak musi być!“

Tu w fortecy prędko się zapomina o różnicy stanów, przyzwyczajeń i kultury, pamiętając ciągle o jedzeniu. Nad wszystkim jest wyższa władza, której trzeba słuchać!

Wśród szeregu niepowodzeń spotyka i nas czasem to czego pragniemy. Dziś nap. władza pozwoliła nam po raz pierwszy wynieść własny ceber. Z kolegą Jaroszewskim staję w pierwszą parę. Nie byliśmy dobrani wzrostem“ lecz trudno. Jeżeli od razu nie było amatorów to nie przez lenistwo lub wstręt jakikolwiek, a wprost dla tego, że nikt nie wiedział, jak się do tej operacji zabrać. Tu w fortecy kwestja „cebrowa“ była piętą achillesową naszego stosunku do sąsiednich kazamat. Tym chociaż prostakom, ale przeważnie ludziom porządnym, zrównanym z nami wspólnym losem, pomimo energicznego protestu, władze kazały wynosić nasz ceber.

Na prośby, że my sami to zrobimy, pułkownik odpowiadał: „Panom to nie wypada, do takiej czynności przeznacza się swołocz z ulicy.“ To też robociarze z sąsiednich kazamat wymyślali nam bez ceremonji od „jasnych panów, burżujów“ i dopiero gdyśmy po długich staraniach otrzymali prawo sprzątania sami po sobie, stosunek nasz do sąsiadów poprawił się od razu. Gdy później z własnej woli chcieli za nas spełniać tę czynność, nie przystaliśmy na to. Zresztą—cóż to jest za głupstwo w porównaniu z rewizją osobistą. Tej naprawdę boimy się. Albo takie czytanie listów wysyłanych i odbieranych przez nas. Takie rzeczy denerwują więcej niż wszystko. I tu tak samo jak w Płocku, wybuchają często pomiędzy nami spory a nawet kłótnie, hamowane obecnością szyldwacha. Zaczynamy więc za wspólną zgodą pisać podania, redagujemy depesze.

Podobno wczoraj była w twierdzy żona kolegi Konstantego Grabowskiego, lecz kołatała napróżno, nie wpuszczono jej do fortu, w papierach zdobytych z takim trudem brak było jakiejś formalności.

20—I. Powoli zaludnia się nasza kazamata. Wczoraj przybyli nowi towarzysze niedoli: Stanisław Konic z Ratowa, wesół i rozmowny, powoli zapada w apatję. Chory jest na nerki, nasza kuchnia to dla niego zabójstwo. Z początku pełen otuchy obiecuje, że nam sprowadzi dużą pieczoną cielęcinę.

— Najpierw, panowie, cielęcina, później kapłony, później znów cielęcina, same białe mięso!

Wszyscy wybuchnęliśmy mimowoli głośnym śmiechem.

— Co, panowie się śmiejecie, gotów jestem iść o gruby zakład.

I zwracał się do żołnierzy, do wyższych władz, przekonywał lekarza fortecznego.

Żołnierz wymyślał z miejsca.

Pułkownik grzecznie odpowiedział:

„Pożywiom—uwidim!“

Lekarz forteczny radził używać tymczasem salol!

A tu trzeba żyć! Trzeba było pogodzić się z pieprzną tłustą zupą, z czarnym obrzydliwym mięsem! Żal nam serdecznie Konica. Skulony i smutny siedzi na swoim posłaniu. Wieczorem przysiadam się do niego i gawędzimy późno w noc.

— Panie, ja w tych warunkach zdechnę!

Gdy nareszcie pozwolono nam kupować szynkę, część jej maleńką zaoszczędzoną przy podziale na wszystkich chowałem dla pana Stanisława na rano. Wszyscy koledzy wiedzieli o tym „nadużyciu“, lecz nikt nie oponował, przeciwnie ten i ów zapytywał: a dla Konica zostało?

Po kilku „srogich“ oficerach, dziś mamy znów bardzo miłego chłopaka, ze mną jako z ex-wojskowym wdał się w gawędę. Namawiam go, żeby nam dał z kilkanaście papierosów.

— Dać nie mogę — odpowiada, ale ja do panów zajdę parę razy, przypadkiem zostawię port-cygar... rozumie pan?

Już blizko czwarta w kazamacie naszej półmrok, ani czytać, ani pisać nie można. Zapasy wrażeń odebrane od nowoprzybyłych przytępia szara nuda bezczynności, myśl o możliwej jutro osobistej rewizji wszystkich nas prześladuje. Podobno jutro ma być dyżurnym ten sam „burbon“ jak go własny jego kolega nazywa.

21—I. Od samego rana wesoło i gwarno w naszej kolonji. Kolega Płoski i ja odebraliśmy od żon depesze, że wszystko na dobrej drodze. A więc nadzieja, że niewola nasza niedługo się skończy. Zresztą czas już stanowczo pomyśleć o uwolnieniu, albo o jakiej gruntownej zmianie warunków naszego tu pobytu. Pomiędzy nami coraz więcej poważnie chorych. Kolega Małcużyński pokasłuje i zdrowie jego napawa nas obawą. Mamy dwuch chorych na nerki, ogólny prawie rozstrój żołądka i reumatyzm. Żądamy kategorycznie i stanowczo porady lekarza i następnie lekarstwa i lepszego pożywienia. Nie odmawiają. Po kolei wywołują chorych do tak zwanego „okołodka" (przyboczny szpitalik). Lekarz forteczny konstatuje sam u wielu z nas różne dolegliwości. Do szpitala jednak nie kwalifikuje nikogo. Apteczka miejscowa uboga, musimy się zadowolić proszkami salolu. Uniwersalny środek! Złość i głupota ludzka wzbudza w nas wesołość. Śmiech przez łzy!

Pułkownik zupełnie nas zaniedbuje. Co prawda tłomaczy go nawał pracy. Dzień w dzień przybywa z kolei po kilkadziesiąt osób.

Pułkownik zły. Dziś dyżurny oficer dostał reprymendę: pozwolił nam za długo używać pióra i atramentu.

*

* *

Niema na świecie miasta bez zamków, domów bez schowanek, pokojów bez mniej lub więcej zacisznych kącików. I nasza kazamata ma taki kącik przezwany „Resursą"; są tam w zagłębieniu sciany dwie półki, bardzo je lubimy! One jedne nie mają nic wspólnego z pojęciem więzienia—fortecy. Dwie zwyczajne, licho wygładzone deski.. Skąd się tu wzięły? Tu gdzie każdy cal wymierzony każdy gwóźdź policzony... Czyżby jaki ludzki zwierzchnik, litując się nad dolą więźniów, pozwolił sobie na taki wybryk uczucia? Na tych dwuch deskach mieści się cały nasz ubogi dobytek. Trochę herbaty i cukru, w szparach parę ukrytych papierosów, ołówek i skrawki papieru Zebrani około resursy palacze, leżąc na ziemi zaciągają się, ci co stoją rozdmuchują dym idący z dołu. Pomimo wszystko szyldwach coś zauważa i woła:

Biblioteka U.M.C.S. w Lublinie

— Sobralisia na kurenje, czto za schodka, razajdiś!

Mamy i chwile wesołości. Siedemdziesięcioletni staruszek p. Dziewanowski ze zwinnością młodzika kładzie się pod nary z głową zwróconą ku resursie. Zaciąga się i trudno mu odebrać papierosa, na którego czekają już inni.

— Panie D. wychodź pan zaraz!

Ale to nie skutkuje.

Wtedy grozimy, że się rozstąpią ci, co stoją i szyldwach go zauważy. Ta niezbyt szlachetna pogróżka odrazu skutkuje.

— Już ostatni raz, słowo daję!

22—I. Z sąsiedniej kazamaty słychać śpiewy lub przemowy. Szyldwach grozi, sprowadza władze, nic to jednak nie pomaga. Tłok tam taki panuje, że nigdy nie można dojść, kto śpiewa. Pułkownik grozi, że wszystkich zamknie do ciemnej. W końcu i szyldwachom to się przejada, wolą i oni posłuchać, jak ciągle się skarżyć. Często wołają do nas sąsiedzi:

— Panowie sędziowie, prosimy o parę koszul!

Chociaż nie mamy wielkich zapasów, dzielimy się czym można; w porównaniu z nimi, których zabrano z ulicy w tym, w czym kto stał, my jesteśmy bogacze.

23—I. Parę dni już nie zachodzi nic godnego uwagi. Straciliśmy zdolność orjentowania się w czasie. Dnie szare jednostajne, wieczorem dopiero nastrój podnosi się o kilka tonów. Prawdopodobnie przyczynia się do tego większa obfitość wrzątku na herbatę. Tak przynajmniej tę zmianę humoru objaśnia kolega Małcużyński. Wrzątek zdobyliśmy własnym przemysłem, tą samą drogą mamy być zaopatrzeni w tytuń. Ostateczność zmusiła nas do zastosowania metody „własnymi siłami" ale trudno—trzeba żyć!

Po kilku dniach przypomniał sobie o nas pułkownik. Jak zawsze gładki co do form, nic się nie zmienia względem nas co do treści

— Żałuję, że nie wyrobiłem dla panów pozwolenia na palenie.. ale komendant powiedział ni to ni owo... Co do rejenta... poczekajcie panowie parę dni.., instrukcja wyraź-

nie nie zabrania.. ale muszą być podane poważne przyczyny... Może panom jeszcze co potrzeba?

Któryś z kolegów skoczył do kraty, by o coś prosić, aleśmy go powstrzymali za połę surduta, aż pękła. Grobowe milczenie więc było odpowiedzią na humorystyczną propozycję pułkownika.

25—I. Jak tam po za murami twierdzy byli wszędzie „czerwoni i biali", tak samo i wśród nas utworzyły się dwie partje. Jedni oportuniści i ci starają się nawiązać bliższe stosunki z władzami, by tym sposobem poprawić warunki naszej doli i drudzy nie przejednani, którzy znów są zdania, że o nic już prosić nie powinniśmy, jeżeli chcemy zachować naszą godność i tak już dostatecznie sponiewieraną.

— Ja wiem—mówił do nas raz pułkownik—wy panowie pomieszczyki nie jesteście winni i władza wyższa z pewnością to przyzna... wszystkiemu winna ta swołocz, co tu siedzi i przeróżne agitatory żydowskie!

Wdawanie się w dysputy natury społeczno-politycznej nie było w naszych okolicznościach wskazane. Pomimo to, ton kompromisowy znalazł kilku zwolenników w pośród nas.

— O tak panie pułkowniku—odparł ktoś,—myśmy rzeczywiście niewinni, ani nam się śniło wprowadzać polski język, siłą nas do tego zmuszono!

— Takbyście odrazu, panowie, przed władzami mówili,—odparł ironicznie uśmiechając się pułkownik...

Biali nie byli dumni z chwilowego zwycięstwa!

O ile pułkownikowi szło gładko, jak przed chwilą z nami, o tyle trudniej w sąsiednich kazamatach. Nie raz podziwialiśmy śmiałość i niezależność tych biedaków, którzy całkiem są zdani na łaskę lub niełaskę władzy wojskowej. Najśmielszy i najgłośniejszy ze wszystkich był żyd Lurie z Warszawy, a jak sam o sobie mówił „bundzista":

Gdy raz pułkownik srogo go zwymyślał za to, że na łyżce swej do jedzenia wyrżnął słowa „Bund," ten głośno odpowiedział:

— Każdy może należeć do takiej partji, do jakiej sam chce. Pan pułkownik jest zwolennikiem wojskowej partji, a ja należę do bundu!

Wszyscy struchleli prócz Luriego.

Pułkownik wściekły kazał go zaraz zamknąć do ciemnej na chleb i wodę.

Całe to zajście Luriego z pułkownikiem stało się głośne nie tylko w naszym forcie ale i w fortecy; odwaga Luriego zaimponowała nawet żołnierzom. Gdy po kilku dniach Lurie wydostał się z ciemnej, wszyscy mieszkańcy fortu powitali go z pewnym uznaniem. Lurie zamiast przycichnąć, odrazu zabrał się do roboty.

— Sołdat,—pyta szyldwacha—skolko brat ty połuczajesz miasa?

— Mołczi jewrej — odpowiada żołnierz, ale więcej dla formy niż z przekonania.

— Nu, brat, skaży skoro, skaży, ja twoj brat ziemlak?

— Nu skolko, skolko—poł funta!

— A rańsze ty brat skolko połuczał?

— Nu uż jewrej zamołczi — rańsze połuczał czetwert funta!

— Nu choroszo brat... a ty znajesz, kto tebie dobawił miasa i żałowania? Tak znaj oto my, bundzisty i rewolucjonery tebie dobawili... my jeszczo...

— Nu, uż ty ewrej raz zamołczi!

Lurie zamikł, pozostawiając sobie resztę na później.

Często, gdy żołnierze nie brali się już na zwyczajną i bezpośrednią z nimi rozmowę, Lurie używał innego sposobu agitacji rewolucyjnej, śpiewał piosenki o doli żołnierskiej.

Generały i połkowniki
słodkoje wino pjut
bis { A naszewo brata
Prostawo sołdata
W zuby bijut!

Generały i połkowniki
Choroszyje objedy jediat,
bis { A naszemu bratu
Biodnomu sołdatu
Gniłuju kaszu dajut!

Generały i połkowniki
Choroszyj tabak kurjat,

bis {
A naszewo brata
Biednawo sołdata
Za machorku
W karcer sadiat

To znów zwracał się do kolegów robociarzy, by wzbudzić w nich nienawiść do klas posiadających:

Po czóż im (panom) tam
O nas myśleć
Kiedy sami mają:
Stare wina,
Dobre miody,
Panienki kochają. (bis)

I tak Luriego słychać było przez cały dzień; jeżeli zawiele sobie pozwalał, sadzano go do ciemnej, po wypuszczeniu jednak stamtąd zaczynał na nowo. Żołnierze z nim się oswoili i z ciekawością słuchali jego piosenek, lub mów agitatorskich. Doszło do tego, że gdy zbliżał się ktoś z przełożonych, dawali znaki ostrzegawcze. Wieczorami Lurie miewał wykłady dla swoich bezpośrednich towarzyszy, w naszej kazamacie nie wszystko było słychać, dolatywały nas jednak takie zdania, które niebezpiecznie było wtedy wygłaszać na wolności, a cóż dopiero w fortecy!

*

* *

Po chwilowym wahaniu barometru politycznego nastąpił szalony spadek, reakcja szaleje jak wicher w pustyni. W przeciągu kilku dni wszystkie kazamaty naszego fortu nie tylko na dole, ale i na piętrze zapełniły się szczelnie. A takich fortów jak nasz było kilkanaście. Ciągle przypędzano z kolei partję z kilkudziesięciu osób. W chaosie stąd wynikłym o nas zapomniano zupełnie, od czasu tylko do czasu drzwi nasze się otwierały, by przepuścić nowego lokatora.

Sienniki zsuwamy coraz bliżej; utrzymanie czystości i porządku staje się rzeczą prawie niemożebną.

W monotonnym jednak naszym życiu nie brak i chwil wesołych. Najczęściej zdarza się to przy podziale żywności. Wszystko, co przeznaczone jest do zjedzenia, dzielimy na tyle części, ilu nas jest, chociaż często bywa to arcy-trudne zadanie. Dziś naprz.: pozwolono jednej z pań—obywatelek z pod Modlina przysłać nam dwie kury pieczone. Ponieważ jest nas piętnastu, trzeba je podzielić na tyleż części. Jest to zadanie niełatwe, porcje chociaż na oko równe, nie są jednakowe co do wartości. Stajemy więc wszyscy półkolem, każdemu wolno przyglądać się do syta, kto jednak dotknie porcji, musi ją brać. Stąd zawody, rozczarowania, to znów oznaki radości. A nad całym rozgardjaszem góruje głos kolegi Małcużyńskiego, który, lekceważąc sobie rozłożone porcje, głośno dowodzi, że szklanka mocnej herbaty więcej warta niż wszystko! Ażeby wydostać nadetatowy imbryk gorącej wody, pozawierał znajomości z żołnierzami i ze służbą forteczną, a ponieważ umiał trafić im do przekonania, o każdej prawie porze miał herbatę dla siebie i tych, którzy jej łaknęli.

25—I. Znów szara nuda. Konic zniechęcony do wszystkiego, o cielęcinie rzadko już wspomina, a na jutro nic niema do zostawienia. Małcużyński pokasłuje, Boski skarży się na oczy, Święcicki, chłop jak baszta, chudnie, chory także na nerki, woli się głodzić, niż jeść z kotła. Dr. Cholewiński przestał zaczepiać pułkownika, który czasem tylko zdaleka się ukaże, nie zachodząc do nas.

Wieczorem pułkownik zawiadamia w tonie urzędowym, że obiadów z klubu dostawać nie będziemy. Dr. Cholewiński nie wytrzymał, poskoczył do kraty wołając:

— Panie pułkowniku... tak nie może być dłużej...

Doktora odciągamy od drzwi siłą, obraża się na nas i strofuje z góry. Składamy naprędce sąd, który wydaje na doktora wyrok doraźny. Do wykonania wyroku jednak nie dochodzi... ktoś przemawia serdecznie. Podajemy sobie dłonie na zgodę.

*

*　　　*

Kazamata nasza zapełnia się szczelnie. Konicowi pozwolono nareszcie wręczyć dużą pieczoną cielęcinę, zamiast z połowę schować dla siebie, jako ciężko chorego, wszystko rozdaje, częstując każdego. Cielęcina znika jak kamfora, jest nas przeszło dwudziestu. Wczoraj wieczorem przybyli nowi towarzysze: pp. Nacikowski, Pilitowski, Olszyński, Jan Kozłowski, Machczyński i Smoleński. Nowoprzybyli znów ożywili na chwilę smutną naszą atmosferę. Najgorzej ze spaniem, na każdego wypada nie więcej nad łokieć szerokości, chodzić nie można inaczej jak kolejką Ciasnotę znosimy z cierpliwością, wiedząc, że to już niedługo. Otrzymaliśmy wiadomość, że dziś—jutro przyjdzie pozwolenie na wyjazd za granicę, najpierw dla Płoskiego, Małcużyńskiego i dla mnie, a później jest nadzieja i dla pozostałych.

Dotychczasowi przeciwnicy podawania próśb i wogóle starania się o wyjazd—ustępują. Stępniewski nieprzejednany dotąd, mięknie.

Dziewanowski chciałby przyłączyć się do Stępniewskiego, ażeby mniej wydać na wspólną depeszę, tymczasem wszelkie prośby każdy musi podawać oddzielnie, taki ogólprzepis. Dziewanowski więc wyrzeka się na razie nadziei uwolnienia, rozumując dość logicznie:

— Przecież jednego mię tu nie zostawią!

Nareszcie dziś wieczorem pułkownik uroczyście zwiastuje, że trzech z nas wyżej wymienionych ma jutro rano opuścić twierdzę i natychmiast udać się za granicę.

W kazamacie radość i smutek. Radość tych, co wyjeżdżają, smutek pozostałych. Wieczorem urządzamy coś w guście pożegnalnej herbaty. Wesoły nastrój przeważa, psuje go tylko pułkownik, który zapowiada, że na przyszłość o nikogo troszczyć się nie będzie, że w jednym naszym forcie ma przeszło 300 ludzi...

Całą noc prawie nie śpimy, nadchodzi ranek, o godz. 5-ej słychać turkot podjeżdżających dorożek, to dla nas. Serce bije jak młotem! Chociaż nas wyganiają za granicę to trudno, byle swobody i powietrza!

Po wyjściu z fortu, forteca sama wydaje nam się przybytkiem wolności!

Czujemy nawet wdzięczność dla żandarma, towarzyszącego każdemu z nas. Na stacji kolei rzucamy się na bufet, wszystko nam smakuje, jak jakie smakołyki. I to wszystko

możemy spożywać bez pozwolenia, bez podawania „zapisek“ możemy chodzić po całej stacji, z każdym rozmawiać!

W parę godzin jesteśmy w Mławie, Małcużyński pojechał w kierunku Warszawy, gdyż jedzie do Zakopanego. W Mławie spostrzegamy, że ten sam żandarm, który towarzyszył nam z fortu na stację w Modlinie, wskazując na nas, szeptał coś swojemu koledze.

A granica już tak blizko.

Lecz zdaje mi się, że jeszcze jestem pod sklepieniem wielkiej mocnej sieci, że jej oczy czychają na mnie, że kończy się cna dopiero tam na miedzy!

Z jakim bólem upokorzenia i wstydu za całą słowiańszczyznę, siadałem do pruskiego pociągu, on mię wiózł na swobodę!

Modlin-Dziewanowo
1906.

Biblioteka
U.M.C.S.
w Lublinie

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 11663

1000174387